



Gladrok

Emilia Rejner

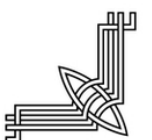


Fitse miało pięć lat i nie wiedziało, kim jest. Nie wiedziało tego także dwa lata później ani po kolejnych trzech odwilżach.

Wbrew temu, co mówiono, nie pochodziło z rodziny zasługującej na karę ani też z tych, co wyrzekli się thynów – bogów północy. Podobne opinie powtarzano jednak na porządku dziennym, bo drobny, białowłosy chłopiec był tak inny, tak odmienny od swych rówieśników, że coś musiało być nie tak – z nim, ale też z pewnością z jego rodziną, skoro pokarało ich takim potomkiem. Fitse był chłopcem, ale jakby nim nie był. Delikatne, filigranowe, o rysach tak miękkich jak u najśliczniejszych dziewczynek i skórze nienaturalnie białej jak śnieg, nie tylko nie wyglądało jak jego rówieśnicy, ale też nie zachowywało się jak oni i, co najważniejsze, jakby nie rozumiało, dlaczego próbuje się je z nimi zrównać. Gdy proponowano mu wspólne zabawy, nie bardzo wiedziało, co odpowiadać. Kiedy namawiano je do psot typowych dla dorastających chłopców, nie miało na nie ochoty. Nie bawiły go też jednak rozrywki typowo dziewczęce. Wszystkie te zabawy w dom, udawanie zielarki czy szeptuchy, czy nawet improwizowane walki w roli tarczowniczkii – w tym też się nie odnajdywało.

Największy problem Fitse polegał na tym, że nie czuło się ani chłopcem, ani dziewczynką i nie wiedziało, kim w związku z tym jest. Bo może ani jednym, ani drugim. A może kimś pomiędzy.

Rówieśnicy odtrącili go szybko. Gdy kilkakrotnie odmówiło wspólnych zabaw, spoglądając na nich tylko z namysłem i delikatnym uśmiechem, jego inność stała się bardziej wyraźna. To wtedy zaczęto się go bać i wtedy też pozwolono, by niepokój związany z odmiennością Fitse znalazł ujście w agresji. Nie bito go, czasem co najwyżej szturchnięto lub popchnięto, ale ostre słowa i dogryzania wystarczyły, by wyrządzić mu krzywdę. Fitse wycofało się, nie widząc dla siebie miejsca wśród innych dzieci – a z czasem, jak się okazało, także wśród





dorostych. Szybko uzmysłowić sobie, że jest niechciane. Wielokrotnie słyszało, że jest dziwne i skoro tyle osób tak mówiło, musiało tak być. Znacznie więcej czasu potrzebowało, by uzmysłowić sobie, że to nieprawda. Nie było dziwne. Nie było okropne. Było po prostu inne.

Któregoś dnia przestało mówić o sobie *on*. Używało tego określenia rozmawiając z innymi, samo dla siebie nie było jednak *nim*. Ono – tak się określało. Nie chłopiec i nie dziewczynka, lecz oboje naraz. Tak jakby. Nie umiało tego wytłumaczyć.

W chwili, w której straciło towarzystwo rówieśników, zyskało silniejszą więź z ojcem. Rodzice nie odrzucili go i chyba nie uważali go za przekleństwo. Nie mógł być pewien, ale tak sądził. Obydwoje, i ojciec, i matka, mieli wielkie serca. Nigdy nie powiedzieliby mu, że go nie chcą. Kochali je, było ich dzieckiem. Fitse widziało wprawdzie czasem w ich spojrzeniach żal, jakiś rodzaj niepokoju czy lęku, ale nie próbowało go zrozumieć. Nie było pewne, czy chciałoby wiedzieć, co tak naprawdę myśla.

Czasem jeszcze udawało. Czasem, gdy chciało, by ojciec był z niego dumny i spojrzał na niego bez tego dziwnego niepokoju, usilnie starało się zachowywać tak, jak zachowywali się inni chłopcy w jego wieku. Mężczyzna jednak kręcił wtedy głową i z łagodnym uśmiechem nakazywał mu przestać. *To nie jesteś ty*, mówił, a Fitse uśmiechało się blade.

Odbyło swój rytuał dojrzałości, unarok, bardzo wcześnie, w wieku jedenastu lat stając się dorosłym bjortari. Było najmłodsze w ówczesnej grupie i najmłodsze w ogóle wśród dzieci podchodzących do rytuału w ciągu ostatnich kilkudziesięciu, a może nawet kilkuset lat. Przeszło wszystkie próby w milczeniu, i choć na koniec chwiała się na nogach, samo wróciło do domu. Odprowadzały je wtedy spojrzenia pełne zdziwienia i lęku oraz szepty. *To niemożliwe*, stwierdził ktoś. *Nigdy nie był normalny*, zawtórował ktoś inny.

– Czasem rodzą się stworzenia, które trudno nazwać i trudno znaleźć im rolę – mówił wreszcie kilka dni później heidr Klanu Malali, Girnir Hlokkseid, w zamyśleniu bawiąc się ozdobnym sześcianem wyrzeźbionym z niedźwiedziej kości. Przycupnięte za rogiem pobliskiego domostwa Fitse spoglądało na zabawkę jak zahipnotyzowane, a słowa przewodnika grzmiąły mu w uszach jak wodospad lub szeroki, rwący potok.

– Nie wiem, czy są karą za uczynki rodziców – kontynuował Girnir – czy, na przykład, napomnieniem dla klanu, ale... – Mężczyzna wzruszył szerokimi ramionami. – Ale pewnie nie można tego wykluczyć.

Jakiś czas później heidr wezwał do siebie ojca Fitse i te bało się, że chodzi o karę. Że przewodnik będzie chciał upomnieć rodziców za to, że sprowadzili na świat takie dziecko. Okazało się jednak, że nie o to chodziło. Girnir Hlokkseid chciał po prostu ustalić, co będzie dalej z dziwnym podrostkiem. W klanie każdy musiał mieć swoje miejsce i swoją rolę, a znalezienie czegoś dla Fitse okazało się być problematyczne.

Ostatecznie zdecydowano, że, jeśli samo nie znajdzie sobie miejsca, jeśli nie okaże się wystarczająco przydatne jako myśliwy, opiekun w psiarni czy wojownik, zostanie oddane rytualistom. Albinos nie wiedział,





czego miałoby nauczyć się od klanowych kaptanów i czym miałoby się wśród nich zajmować. Z pewnością nie wiedział tego także jego ojciec i, najpewniej, również heidr. Niewątpliwie wszyscy wiedzieli za to, o co tak naprawdę chodziło.

Odsunięcie problemu o imieniu Fitse tak, by nie rzucał się w oczy.

Ojciec skinął wtedy głową powoli, z ociąganiem i spojrzął na syna, uśmiechając się ze smutną rezygnacją. Fitse nic wtedy nie powiedział, podobnie jak nie odzywało się za wiele przez kolejne lata, gdy przestawiano je z kąta w kąt, byle dalej od spojrzeń innych bjortari.

* * *

Zamieć nadeszła nagle i uderzyła w Euxanir z siłą, której nie obserwowano od kilku dekad. W jednej chwili pogodne, wczesnozimowe niebo w ciągu kilku minut zasnęło się ciężkimi, szarymi chmurami a wszystko jak okiem sięgnąć spowity gęste tumany śniegu. Widoczność nagle ograniczyła się do długości wyciągniętej ręki, a powietrze, dotąd przyjemnie rześkie, nagle zaczęło drażnić suchością silnego mrozu. Kolejne dni nie przyniosły poprawy. Gwałtowny wicher wył wśród gór bez ustanku, a przez szarą masę chmur nie przedzierał się choćby jeden promień cieplejszego słońca. Po czterech dniach pojawiły się pierwsze ofiary zamieci – tuż przed bramami Niddkari znaleziono skostniałe z zimna ciało samotnego wędrowca, nie wrócili też dwaj myśliwi i jeden z klanowych potawiaczy.

– To gladrok – zaczęło mówić, przywołując nazwę burzy śnieżnej, która według legend miała na długie lata skuć Euxanir lodem po tym, jak bjortari odwrócili się od czczonych dotąd duchów. – To wyjął upiory gór.

Co mądrzejsi uśmiechali się tylko pobłaźliwie, wiedząc, że zamieć, choć silniejsza niż ostatnio obserwowane, nie jest niczym niezwykłym o tej porze roku. Tych, którzy wierzyli w gladrok było jednak wielu i wszyscy oni rychło zaczęli spoglądać z lękiem na Fitse.

Zaraz po unaroku albinosa zaczęło mówić, że jest ono głosem gór, bo było tak ciche jak otaczające Niddkari skały i tak jak one niewzruszone. Potem zaczęło dostrzegać w nim szamana, jednego z tych, którzy wymarli przed wieluset laty, a którzy po mieli być samym Euxanirem. Dopatrywano się w Fitse pierwotnej dzikości i siły kontrastującej z filigranową sylwetką, a w ni to chłopięcych, ni dziewczęcych rysach szukano podobieństw do przedstawień duchów gór. Wreszcie, kiedy dostrzeżono jak zimna i błada jest jego skóra, zaczęło mówić, że w jego żyłach płyną stopione śniegi, a ono samo ma władzę nad lodem, najbardziej przerażającym z żywiołów.

Gdy zamieć zapanowała nad szczytami Euxaniru, heidr wezwał Fitse do siebie, po raz pierwszy od czasu narodzin dziecka spoglądając wprost na nie, a nie gdzieś obok.

– Będziemy umierać, Fitse – powiedział heidr, powoli, starannie dobierając słowa. Uważne spojrzenie spoczywające na albinosie było ciężkie, ponure i pełne namysłu. – Będziemy umierać powoli z zimna, gdy lód





wypełni nasze płuca, i z głodu, gdy skończą się zapasy – kontynuował Hlokkseid, a Fitse wiedziało, do czego zmierza mężczyzna. – Trzeba przebłagać duchy gór. Trzeba je przebłagać nim będzie za późno.

– Dlaczego nie rytualiści? – zapytało miękko. – Dlaczego oni nie przebłagają duchów?

– Bo to nie są ich duchy. Nigdy nie były i nigdy ich nie postuchają. One są... – heidr zawahał się. Spojrzenie spoczywające na chłopcu stwardniało od uporczywości i determinacji przewodnika. – Nie postuchają rytualistów, ale postuchają ciebie. Twoje imię brzmi Lód – stwierdził Girnir, a Fitse skrzywiło się. Nie posiadało nawet połowy zdolności, które mu przypisywano, ale zabobonny klan wiedział swoje.

Milczało przez długą chwilę, odruchowo spoglądając na ojca. Ten przyszedł z nim, bo Fitse rzadko kiedy poruszało się po mieście samo. Teraz, stosownie wycofany, spoglądał na dziecko z uwagą. Na niezadane pytanie uśmiechnął się smutno.

– Może – zaczął niepewnie. – Może rzeczywiście powinieneś spróbować.

Fitse nigdy nie zapomniało smaku zdrady i samotności, mdlącej goryczy, przez którą każdy kolejny oddech bolał coraz bardziej.

– Pójdę – powiedział cicho, wstuchując się w wycie zamieci szalejącej za ścianami Chaty heidra.

Girnir Hlokkseid skinął głową, usatysfakcjonowany. Ojciec nie odezwał się, kiedy w milczeniu wracali do domu, by Fitse mogło się przygotować.

Miało trzynaście lat, a lęki całego klanu spoczęły na jego drobnych barkach.

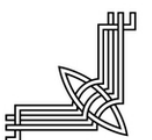
* * *

Zamieć – legendarny gladrok czy nie – zamknęła góry w ciasnych objęciach i nie zamierzała ich wypuścić. Minęło pięć dni, odkąd żywioł z całą mocą uderzył w Pasma Euxaniru. Kłęby śniegu spowiły wszystko przyszarzałą bielą, a mróz skuł szlaki, czyniąc je jeszcze bardziej zdradliwymi niż zazwyczaj. Wicher wył wśród szczytów bez ustanku, a poranki trudno było odróżnić od zmierzchów, tak ciemne było zasnuwane chmurami niebo.

Odkąd opuściło Niddkari, Fitse nie wiedziało, gdzie iść, więc szło po prostu przed siebie.

Na początku oglądało się jeszcze na pozostawione za sobą miasto, szybko jednak straciło je z oczu. Wtedy pozostała mu już tylko droga przed nim, choć gdzie miała je doprowadzić – nie wiedziało. Nikt nie powiedział mu, jak dokładnie miałyby wyglądać przebłagania tych duchów, w które ono samo nie wierzyło. Wyszło z miasta, bo tego od niego oczekiwano. Bo, gdyby tego nie zrobiło, prawdopodobnie nie mogłoby dłużej mieszkać w Niddkari. A to przecież był jego dom. Tu się urodziło i tu... Potrząsnęło głową, zmuszając się do skupienia na szlaku. Jeśli chciało mieć chociaż cień szans na powrót do miasta, musiało uważać, inaczej zamieć zabierze go tak, jak zabrała tamtych myśliwych.

Nie wiedziało, ile już szło, kiedy góry zaczęły do niego mówić. Najpierw było to tylko wrażenie, przekonanie, że nie jest samo, że słyszy skrzypienie kroków innych niż swoje i że ktoś oddycha za jego plecami. Gdy jednak





zatrzymało się i obejrzało za siebie, nikogo nie dostrzegło. Oczywiście, że nie. Nikt nie włożył się przecież w taką pogodę. Drżąc tyleż samo z zimna co z lęku ruszyło dalej, prac przez śnieżną zawieruchę. A potem, kilka kroków dalej, usłyszało głosy, i śmiech, i jakby westchnienia. Wydawało mu się, że ktoś dotknął jego ręki, że czuł miękkie dotyk przez materiał futrzanych rękawic, i że ktoś pogłaskał go po skrytych w kapturze, białych włosach.

Wrażenia kończyły się tak nagle, jak się zaczynały. Kiedy wszystko cichło, Fitse nabierało przekonania, że to tylko jęk i skrzypienie lodu. Gdy słowa płynęły ponownie, na powrót nie było pewne, co w zasadzie słyszy i czuje.

– Halucynacje – powiedziało cicho, ledwo poruszając zdrętwiałymi z zimna, sinymi wargami. – Halucynacje, ja chyba nie... – szeptało, urywając w potowie, tak samo, jak urywały się głosy gór.

Potem znalazło jaskinię. Podchodząc bliżej, odkryło, że to bardziej nieduże zagłębienie w skale niż faktyczna grotka. Jego wzrok przykuł ogień, ciepły, miękkie, rozświetlający skalną komorę. Ogień i siedząca przy nim kobieta. Drobne, wychudzone ciało nieznajomej tonęło w kilku warstwach grubych, wyraźnie znoszonych futer. Szczupłą twarz o ostrych rysach zdobity szare, lekko rozmazane malunki a okalająca ją grzywa ciemnych, niemal czarnych włosów poprządkana była licznymi piórami, koralikami i fragmentami kości.

Fitse zawahało się. Intuicja podpowiadała mu, że nie powinno jej tu być. Mimo tego nie potrafiło odejść. Wreszcie z wahaniem weszło do środka, zbliżając się do zaskakującego dużego ogniska.

Kobieta uniosła wzrok, jakby dopiero teraz dostrzegając nastolatka, a Fitse zatrzymało się kilka kroków przed paleniskiem.

– Kim... – zaczęło, urwało jednak niemal od razu i zmarszczyło brwi. Nie wiedziało, jak zacząć. – Jak się nazywasz? – Z jakiegoś powodu uznało, że to pytanie będzie lepsze od zbyt szerokiego, wymagającego zbyt wielu wyjaśnień *kim jesteś?*

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Esthyn. Esthyn Gardberg, choć częściej mówią na mnie Esthyn z Gór – przedstawiła się. Mówiła cicho. Jej głos był miękkie i znacznie młodszy, niż Fitse się spodziewało, spoglądając na nieznajomą. Albinos ocenił jej wiek na przynajmniej pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt wiosen, tymczasem Esthyn brzmiała jakby nie przeżyła jeszcze dwóch dekad.

Milczeli przez chwilę, przyglądając się tylko sobie wzajemnie, nim kobieta wskazała wreszcie ognisko i rozłożone przy nim futra.

– Chodź – rzuciła zachęcająco i uśmiechnęła się przelotnie. – Ogrzej się.

Fitse nie było pewne, czy powinno i co właściwie tu robi. Ostrożnie przysiadło jednak na skraju futer, wyciągając ręce do ognia. Przez dłuższą chwilę przyglądając się grze płomieni na podłożonych pod nie drwach,





Fitse nie do końca świadomie ześlizgnęło się wzrokiem na cienką warstwę szronu osiadłego na pobliskich skałach.

Nie topił się. Ani lód, ani pojedyncze płatki śniegu wpadające do jaskini nie topiły się, choć w środku było przecież bardzo ciepło.

Fitse zastanowiło się nad tym tylko przez bardzo krótką chwilę, nie dochodząc do żadnych wniosków. Potem znów całą uwagę skupiło na Esthyn.

- Przyszedłem w góry - zaczęło nagle, choć Gardberg o nic nie zapytała. - Przyszedłem w góry, bo mój klan spodziewa się, że będę mógł... - Urwało na chwilę, wreszcie machnęło ręką w kierunku zamieci szalejącej na zewnątrz. - Że to mnie posłucha. Że będę mógł to zatrzymać - zawahało się. - Straciliśmy już kilkoro naszych. Nie chcę, żeby zginęło ich więcej.

Esthyn milczała, Fitse jednak jakby tego nie zauważało.

- Mówią - ciągnęło, w zamyśleniu wyglądając na nieokietznany żywioł. Przez chwilę wydawało mu się, że marznie, że jego dłonie stają się nagle bardzo zimne. To jednak nie było przecież możliwe, nie tak blisko żywego ognia. - Mówią, że jestem Lodem i że on mnie będzie słuchał. Lód. Śniegi. Że to... - Zaśmiało się krótko. - Że rozmawiam z duchami gór. Że mnie posłuchają, choć nie słuchają nikogo innego. A ja przecież nawet w nie nie wierzę.

Urwało nagle, jakby porażone swoją nadmierną śmiałością. Nie powinno się na głos przyznawać do własnej niewiary, ojciec zawsze mu to powtarzał. Nie powinno się nigdy na głos twierdzić, że coś nie istnieje, jeśli nie posiadało się na to dowodów. Bo bez nich, bez absolutnej pewności, można było nieopatrznie zwrócić przeciwko sobie żywioły, którym potem nie da się sprostać.

Fitse z wahaniem spojrzało ku Esthyn, ta jednak uśmiechnęła się łagodnie.

- To odważne. Ale i głupie - odezwała się wreszcie. W jej głosie pobrzmiwało tyleż samo rozbawienie co rozdrażnienie, a albinos nie wiedział, które z nich jest udawane, a które nie. A może żadne nie było? Może Esthyn, ta dziwna kobieta z gór, rzeczywiście potrafiła w jednej chwili czuć obie tak skrajne emocje?

- Nie jesteś Lodem - kontynuowała tymczasem Gardberg. Jej uważne spojrzenie świdrowało drobną postać nastolatka. Fitse skuliło się. Było coś przerażającego w wyrazie szarych oczu Esthyn, coś nieprawdopodobnie zimnego i... dzikiego? - Nie jesteś Lodem, a sam Lód nikogo nie słucha.

- Wiem - przytaknęło z zapamiętaniem i, chyba, odrobiną desperacji. Z jakiegoś powodu było pewne, że to bardzo, bardzo ważne, by Esthyn wiedziała, że ono tak nie myśli. Że nigdy, nawet przez chwilę, nie czuło się godne, by być - by władać - Lodem. - Wiem, ja nie... Ja to wiem. Ale oni nie. Oni wierzą, że... - Zdania rwały się w potowie, gdy Fitse z trudem szukało odpowiednich słów. Te jednak, jak na złość, nie chciały tym razem przyjść. - Wierzą, że ja to potrafię. Mam zimne ręce, wyglądam... - parsknęło gorzko, kręcąc głową. - Widzą we mnie ducha,





żywiot, którym nie jestem. Musi tak być, bo inaczej, w innym przypadku... – Tym razem urwało na dobre, nie znalazło w sobie sił, by dokończyć.

Musi tak być, bo w innym przypadku okazałoby się, że specjalnie kazali mi iść w góry. Że spisali mnie na straty, że cała ta wyprawa jest tylko dla uspokojenia nastrojów, po to, by heidr Hlokkseid mógł powiedzieć, że zrobił wszystko. I że ja w tym wszystkim zupełnie się nie liczę.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Wspólnie wpatrywali się w kłęby śniegu wirującego chaotycznie na wietrze i niestabnącą, ponurą szarość towarzyszącą im już od kilku dni.

Wreszcie Gardberg odetchnęła cicho i wstała z gracją, o którą albinos jej nie podejrzewał. To nie tak, że Esthyn wyglądała staro, ale nie była też młoda. Sprawiała wrażenie, jakby widziała na własne oczy wiele minionych wieków – a mimo to w jej ruchach nie widać było śladu upływającego czasu.

– Pomogę ci – rzuciła krótko. W jej słowach nie było pytania. – To nie gladrok, ale ty sobie z tym nie poradzisz.

– A ty? – wypaliło Fitse nim zdążyło się zastanowić. W kolejnej chwili splotęło rumieńcem. – Przepraszam, ja...

Esthyn roześmiała się.

– Wiem – rzuciła lekko, spoglądając na nastolatka ciepło. – Wiem, Fitse – powtórzyła, a młody bjortari zmarszczył brwi lekko, zastanawiając się, kiedy zdążył się przedstawić. – Ja umiem rozmawiać Lodem. Nie mam nad nim władzy – zastrzegła ostrzej, potem jednak uśmiechnęła się z kojącą łagodnością – ale czasem mnie wystucha.

Fitse milczało, spoglądając na kobietę, kiedy ta poprawiała futra i jeszcze przez chwilę przyglądała się nieustępliwej zamieci.

– Zostań tutaj – zarządziła wreszcie, nie oglądając się już na młodego bjortari. – Wrócę – dodała i uśmiechnęła się lekko, a Fitse było pewne, że Esthyn rzeczywiście to zrobi.

– O ogień nie musisz się martwić. Nie zgaśnie – dorzuciła jeszcze Gardberg, stojąc już za progiem jaskini. Śnieg natarł na nią gwałtownie, w jednej chwili osiadając na okrywających ją futrach miękką, moką warstwą.

Fitse milczało, spoglądając, jak Esthyn znika wśród zamieci. Nie miało pojęcia, skąd brała się w nim ta pewność, teraz jednak, siedząc w ciepłe i z bezpiecznego miejsca spoglądając na mroźną nawałnicę, było przekonane, że kobieta rzeczywiście sobie z nią poradzi.

* * *

Esthyn wróciła po kilku godzinach, a może dniach – Fitse nie było pewne. Od chwili opuszczenia jaskini przez Gardberg czas jakby mu uciekł, przecieł mu przez palce.





Zgodnie z obietnicą kobiety, ogień rzeczywiście nie stał. Nawet jednak, gdyby w którymś momencie przygasał, stał się wąty i chwiejny, Fitse nic by z tym nie zrobiło. Pewnie nawet nie zauważyłoby, że coś się dzieje.

Zaczęło słyszeć głosy ledwie kilka chwil po odejściu Esthyn, wtedy też uzmysłowić sobie, że nie jest same. Grota wciąż była pusta, rozejrzało się dokładnie, ale jednocześnie miał towarzystwo. Ktoś mówił o minionej wyprawie handlowej do Portu Harour, wspominał złą pogodę i opóźnienie rejsu *Tamahary*, barki towarowej Kompanii Zachodniej. Fitse nie rozumiało połowy z tego, co słyszało w jaskini, jedynie podświadomie pojmowało rozczarowanie mówiącego i pobrzmiewającą w głosie desperację. *Bez metali z Tamahary nie będziemy mogli...*, mówił ktoś, ale nie kończył, a albinos nie potrafił się domyśleć, co powinno być dalej. Fitse nie znato świata dalszego niż Pasma Euxaniru, nie widziało nic więcej poza rodzinnym Niddkari czy Yrkazaanem. Nie było nawet w Falhasie, a co dopiero dalej, poza granicami Heimareldu. Nie rozumiało, jak działa świat poza górami, nie miało kiedy – i od kogo – się tego nauczyć.

Inny głos, kobiecy, mówił o nowym miocie w psiarniach Urkari. Fitse słyszało miękki szelest futer, gdy mówiąca rozsiadała się wygodniej i trzask płomieni na ognisku, przy którym nieznajoma ogrzewała zmarznięte dłonie. *Fjolmar będzie zadowolony*, mówiła. *Długo czekał na swojego doga, a teraz będzie miał najlepszego z najlepszych.*

Do walk?, spytał ktoś, a kobieta roześmiała się.

Pewnie też, odpowiedziała z rozbawieniem. *Mówi, że nie, ale ja wiem, że nie będzie potrafił się powstrzymać.*

Głosy płynęły jeden za drugim, zlewały się czasem w niezrozumiały bełkot, w kolejnej chwili docierając do Fitse tak wyraźnie, jakby siedziało z mówiącymi przy jednym ognisku. A ono siedziało i słuchało, oczami wyobraźni widząc kolejnych podróżnych, którzy w minionych tygodniach, miesiącach, latach zatrzymali się w grocie. Wielu z nich już nie żyło. Prawdopodobnie większość. Fitse nie wiedziało tego, ale czuło. Wraz z głosami płynął zimny oddech śmierci.

Kiedy ponownie dołączyła do niego Esthyn, głowa albinosa ciążyła mu od nadmiaru zastyszanych rozmów, a krew tętniła boleśnie w skroniach.

– To dla ciebie – powiedziała Gardberg, na wyciągniętej dłoni podając nastolatkowi woreczek intensywnie pachnący ziołami. Fitse sięgnęło po paczuszkę odruchowo, zabierając ją z ośnieżonej rękawicy kobiety.

Śnieg osiadł wilgotną warstwą także na futrach Esthyn i choć teraz, bliżej ognia, powinien zacząć się topić, nic takiego się nie działo. Kryształki lodu wplątane w kosmyki włosów Gardberg iskrzyły w promieniach słońca powoli przedzierającego się przez warstwę chmur.





Dostrzegłszy to, Fitse zrozumiało, że zamieć straciła na sile. Nie ustała jeszcze, z nieba wciąż sypały się garści śniegu, wiatr jednak przycichł i dało się już dostrzec drogę przed sobą. Spojrzało na kobietę. Chciało zapytać o gladrok, i cenę, jaką należało zapłacić, by uspokoić rozszalałe duchy, ale to nie byłoby właściwe.

Kiedy Esthyn usiadła z powrotem przy ogniu, Fitse pożegnało się grzecznie, podziękowało za zioła i odeszło. Szło powoli, ślizgając się na oblodzonym szlaku. Czowało na sobie wzrok Gardberg – uważny, bystry, świdrujący mu plecy, kiedy krok za krokiem oddalało się ku Niddkari. W pewnym momencie zatrzymało się, by obejrzeć się jeszcze przez ramię. Mrużąc oczy, odnalazło otwór jaskini, teraz ciemny i cichy. Zmarszczyło brwi, wreszcie pokręciło głową i znów ruszyło szlakiem.

Wiedziało, że nie spotka już Esthyn, ani tu, ani nigdzie indziej.

* * *

Gdy wróciło do miasta, powitało go zaskoczenie, ale nie rozczarowanie, którego się spodziewało. Brnąc zaśnieżoną ścieżką wyobrażało sobie żal heidra, kiedy okaże się, że zamieć nie załatwiła problemu Fitse – stając jednak przez Hlokkseidem i towarzyszącymi mu rytualistami, nie dostrzegło niczego takiego. Girnir był zdumiony i nic poza tym.

Opowiedziało wszystko, czego doświadczyło w górach. Mówiło o tym, jak dotarło do groty i jak czekało tam, aż zamieć się uspokoi. Wspomniało o Esthyn i podkreśliło, że to ona, nie on, uspokoiło duchy.

– Wiedźma z Gór – rzucił Anag, jeden z rytualistów, spoglądając z zadumą na Fitse.

Albinos milczał.

Inny z kapłanów, akolita jeszcze przed próbami, pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Niemożliwe – stwierdził z przekonaniem. – Niemożliwe. Wiedźma z Gór to legenda, zapomniany upiór – ciągnął, spoglądając to na starszych rytualistów, to na heidra. – Ona nie...

Och, istnieje, westchnęło w duchu Fitse. *Istnieje*. Nie odezwało się jednak, cierpliwie czekając. Rytualiści, podobnie jak Girnir, potrzebowali czasu.

Tłumaczyło, że nie ma władzy nad Lodem, ale mu nie wierzyli. Albo – co może bardziej prawdopodobne – uznali, że te dziwne spotkania, te głosy, o których wcale przecież nie powiedział dużo, że to wszystko jest gorsze niż umiejętności przypisywane mu dotąd. Bo przecież teraz chodziło o śmierć. O to, że Fitse widzi poza nią, że potrafi...

Potrząsnęło głową. Nie chciało o tym myśleć.

Oddaliło się odprowadzane ponuro zamyślonym spojrzeniem heidra. Hlokkseid spoglądał na niego przez otwarte drzwi domostwa tak długo, jak mógł, aż do chwili, w której drobna postać zniknęła między dalszymi zabudowaniami.

W domu Fitse usiadło przy kuchennym palenisku, kuląc się na ławie z surowego drewna.





- Jak poszło? - zapytał ojciec, a albinos uśmiechnął się krzywo.

- Dobrze - odpowiedziało, błędząc wzrokiem po skąpanym w półmroku wnętrzu domu. Urodziło się tu i dorastało, ale nagle to wnętrze, ten pokój, stało się dla niego tak bardzo obce. Odległe. Nie jego.

Opowiedziało ojcu to samo, co opowiedziało heidrowi, dodało jednak więcej o głosach. Wspomniało o Tamaharze i o psach, i o tych wszystkich innych wędrowcach, którzy nieświadomie dzielili się z nim swymi historiami.

Ojciec milczał długo. Wreszcie uśmiechnął się blado, ze smutkiem.

- To głosy gór, Fitse. Ich duchy, wspomnienia tych, których Euxanir uznał za swoich - powiedział powoli. Mężczyzna przysiadł na ławie obok syna i wsparł ciężką, chropowatą dłoń na drobnym ramieniu dziecka. - To wielki dar, kochanie. Góry zawsze mówią, ale mało kto je słyszy. Mało kto je rozumie. To dar - powtórzył, Fitse jednak nie słyszało w nim wystarczającego przekonania, by potrafiło uwierzyć.

- Kim ja jestem, tato? - zapytało cicho. W buzi mu zaszczo, z trudem przetłknęło kroplę śliny spływającą powoli po podrażnionym, piekącym gardle. Skrzywiło się lekko, uciekając wzrokiem na chwilę, w kolejnej jednak ponownie spojrzęło na ojca. Patrzyło na niego z nadzieją i lękiem, zaciskając drobne dłonie w pięści. - Kim jestem?

Ojciec odetchnął cicho i zamknął Fitse w silnych, kojących objęciach.

- Jesteś medium - powiedział powoli nad uchem syna. - Ale przede wszystkim jesteś sobą, Fitse. Wspaniałym, młodym człowiekiem, stworzonym do... - Zawahał się.

Albinos zaśmiał się krótko, urywanie. Ojciec odpowiedział podobnie krótkim, pełnym bezradności rozbawieniem.

- Nie wiem, do czego. W twoim przypadku chyba nikt tego nie wie. Ale - dodał mężczyzna, odsuwając się kawałek i spoglądając na Fitse uważnie - to na pewno coś specjalnego. Coś, czego nikt inny by nie udźwignął. Jesteś silniejszy od nas wszystkich, mały.

Fitse milczało, wreszcie uśmiechnęło się blado. Dar, tak powiedział ojciec. *Dar*. Być może. Ale też... Odetchnęło powoli. Nadal będzie tu problemem. Nadal będą się go bali i nadal będzie musiało odejść, nie miało co do tego wątpliwości. Teraz jednak - chciało. Chciało opuścić Niddkari. Nie wiedziało wprawdzie, dokąd miałoby pójść, ale... Jedyne, czego było teraz absolutnie pewne, to że nie jest samo. Nie jest i nie będzie. Może pójść gdziekolwiek - będą tam na nie czekali. A skoro tak, to nie miało już czego się bać.

Nie będzie samo. *Nigdy*.

